

WYDAWNICTWO ALBATROS

MARIO PUZO

TRYLOGIA

Ojciec Chrzestny / Sycylijsczyk / Omerta



Ojciec Chrzestny

Tytuł oryginału: THE GODFATHER

Copyright © Mario Puzo 1969. All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Zielińska & Tomasz Zieliński 1985

Wstęp Francisca Forda Coppoli do *Ojca Chrzestnego*

Introduction by Francis Ford Coppola, copyright © 2018 by Francis Ford Coppola;
from THE GODFATHER by Mario Puzo. Used by permission of Berkley, an imprint of Penguin Publishing
Group, a division of Penguin Random House LLC. All rights reserved.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Sycylijczyk

Tytuł oryginału: THE SICILIAN

Copyright © Mario Puzo 1984. All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Jan Jackowicz 2006

Omerta

Tytuł oryginału: OMERTA

Copyright © Mario Puzo 2000. All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Marek Fedyszak 2000

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcie na okładce: © Steve Schapiro/Corbis via Getty Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



SPIS TREŚCI

OJCIEC CHRZESTNY (przel. Bronisław Zieliński)

Francis Ford Coppola – Wstęp. *To nie ty go stworzyłeś. To on stworzył ciebie!*

(przel. Andrzej Szulc)

SYCYLIJCZYK (przel. Jan Jackowicz)

OMERTA (przel. Marek Fedyszak)

ROZDZIAŁ 1

AMERIGO BONASERA SIEDZIAŁ W nowojorskim Sądzie Karnym numer trzy i czekał na sprawiedliwość – zemstę na ludziach, którzy tak okrutnie skrzywdzili jego córkę, którzy usiłowali ją pohańbić.

Sędzia, mężczyzna o masywnej, ciężkiej twarzy, podwinął rękawy czarnej togi, jak gdyby zamierzał fizycznie ukarać dwóch młodych ludzi stojących przed jego stołem. Twarz miał zimną, pełną majestatycznej pogardy. Jednakże w tym wszystkim było coś fałszywego, coś, co Amerigo Bonasera wyczuwał, choć czego jeszcze nie rozumiał.

– Postąpiliście jak najgorsi zwyrodnialcy – powiedział ostro sędzia.

Tak, tak, myślał Amerigo Bonasera. Zwierzaki. Zwierzaki. Dwaj młodzi ludzie z krótko przystrzyżonymi, lśniącymi włosami, wypucowanymi sympatycznymi twarzami, ułożonymi w wyraz pokornej skruchy, schylili potulnie głowy. Sędzia mówił dalej:

– Postąpiliście jak dzikie bestie w dżungli i macie szczęście, że nie napastowaliście seksualnie tej biednej dziewczyny, bo wsadziłbym was za kratki na dwadzieścia lat.

Sędzia przerwał, jego oczy pod imponująco krzaczastymi brwiami zerknęły przebiegle na pobladłego Ameriga Bonasere, po czym spoczęły na leżącym przed nim stosie protokołów nadzoru sądowego. Zmarszczył brwi i wzruszył ramionami, jak gdyby przekonany wbrew własnej chęci.

– Ale przez wzgląd na wasz młody wiek – przemówił znowu – na waszą dotychczasową niekaralność, na wasze zacne rodziny oraz dlatego, że prawo w swoim majestacie nie szuka zemsty, skazuję was na trzy lata więzienia w zawieszeniu.

Jedynie dzięki czterdziestu latom zawodowego żałobnictwa przytłaczające uczucie zawodu i nienawiści nie ujawniło się na twarzy Ameriga Bonasery. Jego piękna, młoda córka przebywała nadal w szpitalu

ze zdrutowaną złamaną szczęką, a ci *animali* mieli odejść wolno? Wszystko to było farsą. Patrzył, jak uszczęśliwieni rodzice otoczyli swych synków. O, teraz wszyscy oni byli uradowani, teraz wszyscy się uśmiechali.

W krtani Bonasery wezbrała czarna żółć, kwaśna i gorzka, i przelała się przez mocno zaciśnięte zęby. Wyjął białą płócienną chusteczkę i przytknął ją do warg. Stał tak, kiedy obaj młodzi ludzie ruszyli swobodnie przejściem, ufni i chłodni, uśmiechnięci, nawet nie obdarzywszy go spojrzeniem. Pozwolił im przejść, nie mówiąc ani słowa, przyciskając czyste płótno do ust.

Potem przeszli rodzice tych *animali*, dwaj mężczyźni i dwie kobiety w jego wieku, ale ubrani bardziej po amerykańsku. Zerknęli na niego z zawstyżeniem, ale w ich oczach było jakieś dziwne, triumfalne wyzwanie.

Straciwszy panowanie nad sobą, Bonasera pochylił się ku przejściu i wykrzyknął chrapliwie:

– Będziecie płakali, tak jak ja płakałem... Zapłaczecie przeze mnie, tak jak ja płacę przez wasze dzieci! – Chustkę przytknął teraz do oczu.

Adwokaci idący z tyłu słoczyli swych klientów w małą grupkę, otaczając obydwu młodzieńców, którzy zawrócili przejściem, jak gdyby chcąc osłonić swoich rodziców. Olbrzymi woźny przesunął się szybko, aby zagrozić rząd miejsc, w którym stał Bonasera. Ale nie było to potrzebne.

Przez wszystkie lata spędzone w Ameryce Amerigo Bonasera ufał w prawo i ład. I dzięki temu prosperował. Teraz, choć ział nienawiścią, chociaż szalone myśli o kupieniu rewolweru i zabiciu obu młodzieńców miały mu się pod czaszką, Bonasera obrócił się do swej jeszcze oszołomionej żony i wytłumaczył jej:

– Zrobili z nas głupców. – Przerwał, a potem powziął decyzję, już nie lękając się ceny. – Po sprawiedliwość musimy iść na klęczkach do dona Corleone.

W KRZYKLIWIE PRZYODZOBIONYM APARTAMENCIE hotelowym w Los Angeles Johnny Fontane spił się z zazdrości jak każdy zwykły mąż. Wyciągnąwszy się na czerwonej kanapie, popijał whisky wprost z trzymanej w ręce butelki, po czym splukiwał smak, zanurzając usta w kryształowym wiaderku z kostkami lodu i wodą. Była czwarta nad ranem i snuł pijackie rojenia, że zamorduje swą włóczącą się żonę, kiedy ta wróci do domu. Jeżeli w ogóle wróci. Zrobiło się za późno, żeby telefonować do pierwszej żony i pytać o dzieci, a niezręcznie mu było dzwonić do któregoś z przyjaciół teraz, kiedy jego kariera chyliła się ku upadkowi. Niegdyś byliby zachwyceni i zaszczyceni, gdyby zadzwonił do nich o czwartej rano, ale teraz ich nudził.

Zdołał nawet uśmiechnąć się z lekka do siebie na myśl, że kiedy szedł w górę, kłopoty Johnny'ego Fontane'a fascynowały niektóre z największych gwiazd w Ameryce.

Łykając whisky z butelki, usłyszał wreszcie klucz żony w zamku, ale pił dalej, póki nie weszła do pokoju i nie stanęła przed nim. Wydawała mu się tak bardzo piękna z tą swoją anielską twarzą, marzącymi fiołkowymi oczami, delikatnym, kruchym, lecz doskonale ukształtowanym ciałem. Na ekranie jej uroda była uwydatniona, bardziej uduchowiona. Sto milionów mężczyzn na całym świecie kochało się w twarzy Margot Ashton. I płaciło, żeby zobaczyć ją na ekranie.

– Gdzie byłaś, psiakrew? – zapytał Johnny Fontane.

– Rznęłam się.

Nie doceniała jego upicia. Przeskoczył przez stoliczek koktajlowy i chwycił ją za gardło. Ale znalazłszy się blisko tej czarodziejskiej twarzy, tych ślicznych fiołkowych oczu, utracił całą złość i znowu stał się bezradny. Popęłniła ten błąd, że uśmiechnęła się drwiąco; ujrzała jego pięść biorącą zamach.

– Johnny, nie w twarz! – krzyknęła. – Kręcę film!

Śmiała się. Uderzył ją w brzuch i upadła na podłogę. Rzucił się na nią. Czuł jej pachnący oddech, kiedy chwyciła ustami powietrze. Walił ją po rękach i po jędrnych, jedwabistych, opalonych udach. Bił ją tak, jak bijął zasmarkanych mniejszych chłopaków dawno temu, kiedy był rozhukanym nastolatkiem w nowojorskiej dzielnicy Hell's Kitchen. Bolesne cięgi, które nie zostawiały trwałego oszpeceenia, obruszonych zębów czy złamanego nosa.

Jednakże nie bił jej dostatecznie mocno. Nie mógł. A ona podśmiewała się z niego. Rozciągnięta na podłodze, w brokatowej sukni zadartej nad uda, naigrawała się z niego między jednym chichotem a drugim:

– No, wsadź mi. Wsadź mi, Johnny, przecież tego chcesz w gruncie rzeczy.

Johnny Fontane wstał. Nienawidził leżącej na podłodze kobiety, ale jej piękność była magiczną tarczą. Margot przekręciła się na bok i jednym skokiem tancerki stanęła naprzeciw niego. Zaczęła żartobliwy, dziecinny taniec.

– Johnny nie zrobi mi krzywdy, nigdy nie zrobi mi krzywdy! – powtarzała śpiewnie, a potem, prawie smutnie, poważna i piękna, powiedziała: – Ty biedny głupcze, dajesz mi lanie jak dzieciak. Ach, Johnny, zawsze będziesz durnym, romantycznym makaroniarzem, nawet w łóżku jesteś jak dzieciak. Wciąż myślisz, że rypanie jest naprawdę takie jak w tych głupawych piosenkach, które śpiewałeś. – Pokręciła głową i dodała:

– Biedny Johnny. Pa, Johnny. – Weszła do sypialni i usłyszała przekręcanie klucza w zamku.

Johnny siadł na podłodze, ukrywając twarz w dłoniach. Ogarnęła go mdła, upokarzająca rozpacz. A potem ta prostacka twardość, która pomogła mu ostać się w dżungli Hollywoodu, sprawiła, że podniósł słuchawkę telefonu i zamówił samochód na lotnisko. Był tylko jeden człowiek, który mógł go uratować. Pojedzie do Nowego Jorku. Pojedzie do jedyne go człowieka mającego władzę i mądrość, których potrzebował, i miłość, której nadal ufał. Do swego ojca chrzestnego, dona Corleone.

PIEKARZ NAZORINE, PULCHNY I rumiany jak jego wielkie włoskie bochenki, jeszcze ubielony mąką, popatrzył spode łba na żonę, dorastającą córkę Katherine i pomocnika piekarskiego Enzo. Enzo przebrał się już w mundur jeniecki z opaską z zielonymi literami i był przerażony, że przez tę scenę spóźni się z zameldowaniem na Governor's Island. Będąc jednym z wielu tysięcy włoskich jeńców wojennych, codziennie zwalnianych warunkowo do pracy w amerykańskiej gospodarce, żył w ustawicznym strachu, że to zwalnianie zostanie cofnięte. I dlatego odgrywana w tej chwili mała komedia była dla niego sprawą poważną.

– Pohańbiłeś moją rodzinę? – zapytał z zaciętością Nazorine. – Obdarowałaś moją córkę tobołkiem po to, żeby cię wspominała teraz, kiedy wojna się skończyła i kiedy wiesz, że Ameryka wykopie cię z powrotem do twojej zafajdanej wioski na Sycylii?

Enzo, krępy, mocno zbudowany chłopak, przyłożył dłoń do serca i powiedział prawie ze łzami, ale roztropnie:

– *Padrone*, przysięgam na Najświętszą Pannę, że nigdy nie wykorzystalem pańskiej dobroci. Kocham pana córkę z całym uszanowaniem. Proszę o jej rękę z całym uszanowaniem. Wiem, że nie mam prawa, ale jeżeli mnie odeślą do Włoch, nie będę mógł nigdy ożenić się z Katherine.

Żona Nazorine'a, Filomena, przemówiła rzeczowo:

– Daj spokój z tymi głupotami – zwróciła się do pulchnego małżonka. – Wiesz, co masz zrobić. Zatrzymaj tu Enza, wyślij go, żeby się schował u naszych kuzynów na Long Island.

Katherine płakała. Była już tęga, pospolita i sypał jej się mały wąsik. Nigdy nie znalazłaby męża tak przystojnego jak Enzo, nigdy nie znalazłaby innego mężczyzny, który dotykałby sekretnych miejsc jej ciała z tak pełną uszanowania miłością.

– Wyjadę i zamieszkać we Włoszech! – wrzasnęła do ojca. – Ucieknę, jeżeli nie zatrzymasz tu Enza.

Nazorine zerknął na nią przenikliwie. To była „gorąca sztuka”, ta jego córka. Widział, jak ocierała się zaokrąglonymi pośladkami o przód Enza, kiedy pomocnik piekarski przeciskał się za nią, aby napęlić koszyki na kontuarze gorącymi bochenkami z pieca. Gorący bochenek tego młodego nicponia znajdzie się w jej piecu – myślał lubieżnie Nazorine – jeżeli nie poczyni się odpowiednich kroków. Enza trzeba zatrzymać w Ameryce i zrobić amerykańskim obywatelem. A był tylko jeden człowiek, który mógł załatwić taką sprawę. Ojciec Chrzestny. Don Corleone.

WSZYSCY CI LUDZIE I wielu INNYCH otrzymali rytowane zaproszenia na ślub panny Constanzii Corleone, który miał się odbyć w ostatnią sobotę sierpnia 1945 roku. Ojciec panny młodej, don Vito Corleone, nigdy nie zapomniał o swoich dawnych przyjaciółach i sąsiadach, choć teraz mieszkał w ogromnym domu na Long Island. Przyjęcie miało być wydane w tym domu, a zabawa miała trwać cały dzień. Nie ulegało wątpliwości, że będzie to doniosłe wydarzenie. Wojna z Japończykami właśnie się zakończyła, więc dręczący strach o synów walczących na froncie nie miał już rzucać cienia na te uroczystości. Wesele było właśnie tym, czego ludzie potrzebowali, żeby okazać swoją radość.

Tak więc owego sobotniego poranka przyjaciele dona Corleone zaczęli napływać z Nowego Jorku, aby okazać mu szacunek. Wieźli jako podarki ślubne kremowe koperty wypchane gotówką – bez żadnych czeków. Wewnątrz każdej koperty była karta określająca tożsamość ofiarodawcy oraz miarę jego szacunku dla Ojca Chrzestnego. Szacunku prawdziwie zasłużonego.

Don Vito Corleone był człowiekiem, do którego wszyscy zwracali się o pomoc i nigdy nie doznawali zawodu. Nie składał czczych obietnic ani nie wymawiał się małodusznie, że ma ręce związane przez potężniejsze od siebie siły na świecie. Niekoniecznie musiał być czyjś przyjacielem, nie było nawet ważne, że ktoś nie miał środków, by mu się odwzajemnić. Jedna tylko rzecz była niezbędna. Żeby ktoś sam zadeklarował swą przyjaźń. A wtedy, bez względu na to, jak ubogi czy bezsilny był suplikant, don Corleone brał sobie do serca jego kłopoty. A nagroda? Przyjaźń, pełen uszanowania tytuł „dona”, czasem zaś serdeczniejsze miano „Ojciec Chrzestny”. I może też, jedynie dla okazania szacunku, nigdy dla zysku, jakiś skromny podarek – galon domowego wina czy koszyk pieprznych *taralli*, specjalnie upieczonych, by mu umilić gwiazdkowy stół. Było przyjęte, należało po prostu do dobrych obyczajów głosić, że jest się jego dłużnikiem i że ma prawo w każdej chwili zwrócić się o spłacenie długu jakąś drobną przysługą.

Teraz, w tym wielkim dniu, dniu ślubu córki, don Vito Corleone stał w progu swego domu na Long Island, witając gości; wszystkich mu znanych, wszystkich zaufanych. Wielu z nich zawdzięczało donowi pomyślność w życiu i uważało, że w to rodzinne święto wolno im zwracać się do niego bezpośrednio słowami „Ojcze Chrzestny”. Nawet usługujący podczas uroczystości byli jego przyjaciółmi. Barman był starym towarzyszem, który ofiarował w darze wszystkie weselne trunki oraz własne wysokie umiejętności. Kelnerzy byli przyjaciółmi synów dona Corleone. Potrawy rozstawione na piknikowych stołach przyrządziła jego żona wraz z przyjaciółkami, a wesoło przybrany festonami, prawie półhektarowy ogród został udekorowany przez koleżanki panny młodej.

Don Corleone przyjmował wszystkich – bogatych i biednych, potężnych i maluczkich – z jednakimi oznakami miłości. Nikogo nie lekcewał. Taki miał charakter. A goście tak zachwycali się tym, jak świetnie wygląda w smokingu, że nieświadomy obserwator mógłby łatwo pomyśleć, że to sam don jest szczęśliwym oblubieńcem.

W drzwiach stali przy nim dwaj z jego trzech synów. Na najstarszego, ochrzczonego Santino, ale nazywanego Sonny przez każdego z wyjątkiem ojca, krzywo patrzyli wszyscy starsi Włosi, młodzi zaś z podziwem. Sonny Corleone był wysoki jak na Amerykanina w pierwszym pokoleniu pochodzenia włoskiego; miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a gęste kędzierzawe włosy sprawiały, że wydawał się jeszcze wyższy. Jego twarz była twarzą rubasznego kupidyna, rysy miał regularne, ale wygięte w łuk wargi były nabrzmiałe zmysłowością, a broda z dołeczkiem w jakiś osobliwy sposób lubieżna. Zbudowany był potężnie jak byk, a powszechnie wiadano, iż natura wyposażyła go tak szczerze, że jego umęczona żona bała się małżeńskiego łoża tak, jak niegdyś niewierzący bali się łamania kołem. Szeptano sobie, że kiedy jako młodzieniec odwiedzał domy złej sławy, nawet najbardziej zaprawione i nieuleknione prostytutki, obejrząwszy z nabożnym szacunkiem jego masywny organ, żądały podwójnej zapłaty.

Tutaj, na przyjęciu weselnym, niektóre młode mężatki, szerokobiodre i szerokouste, taksowały Sonny'ego Corleone chłodnymi, ufnymi oczami. Jednakże tego dnia marnowały czas na próżno. Sonny Corleone, pomimo obecności żony i trojga małych dzieci, miał plany co do druhny swej siostry, Lucy Mancini. Ta młoda dziewczyna, w pełni tego świadoma, siedziała przy ogrodowym stoliku w odświętnej różowej sukni i diademie z kwiatów na lśniących czarnych włosach. Flirtowała z Sonnym w minionym tygodniu weselnych prób i tego ranka uściśnęła mu dłoń przy ołtarzu. Druhna nie mogła uczynić nic więcej.

Nie dbała o to, że nigdy nie miał być takim wielkim człowiekiem,

jakim okazał się jego ojciec. Sonny Corleone miał siłę, miał odwagę. Był wspaniałomyślny, a przyznawano, że serce ma równie wielkie jak przyrodzenie. Jednakże nie odznaczał się skromnością ojca; był popędliwy i zapalczywy, co go doprowadzało do błędów w ocenie ludzi. Aczkolwiek był wielką pomocą w interesach ojca, wielu wątpiło, czy je po nim odziedziczy.

Drugi syn, Frederico, nazywany Fredem albo Fredo, był takim dzieckiem, o jakie każdy Włoch modli się do świętych. Posłuszny, lojalny, zawsze na usługi ojca, mieszkał z rodzicami, mając lat trzydzieści. Był niski i krępy, niezbyt urodziwy, ale z tą samą twarzą kupidyna, co wszyscy w rodzinie, z kędzierzawym hełmem włosów i zmysłowymi, wygiętymi w łuk wargami. U Freda te wargi były nie tyle zmysłowe co granitowe. Skłonny do posępnosci, był jednak dla ojca podporą, nigdy się z nim nie spierał, nigdy nie wprawiał go w zakłopotanie gorszącym postępowaniem z kobietami. Mimo tych wszystkich zalet nie miał osobistego magnetyzmu, tej fizycznej siły, tak niezbędnej przywódcy, więc również nie przewidywano, by odziedziczył rodzinne interesy.

Trzeci syn, Michael Corleone, nie stał razem z ojcem i dwoma braćmi, ale siedział przy stoliku w najbardziej ustronnym zakątku ogrodu. Jednakże nawet i tam nie mógł się wymknąć spod uwagi przyjaciół rodziny.

Michael Corleone był najmłodszym synem dona i jedynym dzieckiem, które uchyliło się od pokierowania przez tego wielkiego człowieka. Nie miał ciężkiej, kupidynowej twarzy innych dzieci, a jego kruczoczarne włosy były proste, nie kędzierzawe. Cerę miał jasnooliwkowego koloru, który uznano by za piękny u dziewczyny. Był przystojny w jakiś delikatny sposób. W pewnym okresie don nawet niepokoił się o męskość swojego najmłodszego syna. Niepokój ten został uśmierzony, kiedy Michael Corleone skończył lat siedemnaście.

Teraz ten najmłodszy syn siedział przy stoliku w najdalszym kącie ogrodu, aby zaznaczyć swoje świadome odseparowanie się od ojca i rodziny. Obok siedziała młoda Amerykanka, o której każdy słyszał, lecz której nikt nie widział do dzisiejszego dnia. Michael okazał, ma się rozumieć, właściwy szacunek i przedstawił ją wszystkim obecnym na weselu, z członkami rodziny włącznie. Dziewczyna nie wywarła na nich wrażenia. Była chuda, zbyt jasnowłosa, miała zbyt inteligentną twarz jak na kobietę, a sposób bycia za swobodny jak na pannę. Nazwisko jej też było obce dla ich uszu; nazywała się Kay Adams. Gdyby im powiedziała, że jej rodzina osiadła w Ameryce przed dwustu laty, nazwisko zaś jest pospolite, wzruszyliby ramionami.

Wszyscy goście spostrzegli, że don nie zwraca szczególnej uwagi na swego trzeciego syna. Michael był przed wojną jego ulubieńcem i

najwyraźniej wybranym spadkobiercą, który poprowadziłby interesy rodzinne, kiedy nadszedłby odpowiedni moment. Miał całą spokojną siłę i inteligencję swego wielkiego ojca, wrodzony instynkt postępowania w taki sposób, że ludzie nie mogli go nie szanować. Jednak kiedy wybuchła druga wojna światowa, Michael Corleone zgłosił się na ochotnika do piechoty morskiej. Czyniąc to, przeciwstawił się wyraźnemu nakazowi ojca.

Don Corleone nie pragnął i nie zamierzał pozwolić, by jego najmłodszy syn poległ w służbie obcego mu mocarstwa. Doktorzy zostali przekupieni, poczyniono potajemne kroki. Wydano wiele pieniędzy na odpowiednie zabezpieczenie. Jednakże Michael miał dwadzieścia jeden lat i nie można było nic poradzić na jego samowolę. Zaciągnął się i walczył na Pacyfiku. Został kapitanem i zdobył medale. W 1944 roku jego zdjęcie zamieszczono w magazynie „Life” wraz z fotograficznym reportażem o jego czynach. Któryś z przyjaciół pokazał to pismo donowi Corleone (rodzina nie śmiała tego zrobić), don prychnął wzgardliwie i powiedział: „Dokonuje tych cudów dla obcych”.

Kiedy Michael Corleone został zwolniony z wojska na początku 1945 roku, aby wyleczył się z poważnej rany, nie miał pojęcia, że to zwolnienie załatwił jego ojciec. Pozostawał w domu parę tygodni, po czym, nie radząc się nikogo, wstąpił do Dartmouth College w Hanoverze, w stanie New Hampshire, i opuścił dom ojca. Wrócił na ślub siostry, by pokazać wszystkim swą przyszłą żonę, tę wymoczkowatą mizerną Amerykankę.

MICHAEL CORLEONE ZABAWIAŁ KAY ADAMS opowiadaniem historyjek na temat co barwniejszych gości weselnych. Jego samego z kolei bawiło to, że ci ludzie wydawali jej się egzotyczni; jak zawsze był oczarowany żywym zainteresowaniem Kay wszystkim, co nowe i obce jej doświadczeniu. W końcu zwróciła uwagę na grupkę mężczyzn zgromadzonych wokół drewnianej beczki z domowym winem. Mężczyznami tymi byli Amerigo Bonasera, piekarz Nazorine, Anthony Coppola i Luca Brasi. Z właściwą sobie inteligencją skomentowała fakt, że ludzie ci nie wydawali się szczególnie radośni. Michael uśmiechnął się.

– Bo nie są – powiedział. – Czekają na rozmowę z ojcem na osobności. Mają do niego jakieś prośby.

W istocie łatwo było dostrzec, że wszyscy czterej ustawicznie wodzą za donem oczami.

Kiedy don Corleone stał, witając gości, czarna limuzyna marki Chevrolet zatrzymała się po drugiej stronie brukowanego placu. Dwaj mężczyźni na przednim siedzeniu wydobyli z marynarek notatniki i

nie próbując się kryć, zaczęli zapisywać numery innych samochodów zaparkowanych dokoła placyku. Sonny obrócił się do ojca.

– Ci faceci to muszą być gliny.

Don Corleone wzruszył ramionami.

– Ulica nie jest moją własnością. Mogą robić, co im się podoba.

Pyzata, kupidynowa twarz Sonny'ego poczerwieniła z gniewu.

– Te parszywe dranie niczego nie uszanują.

Zszedł ze stopni domu i ruszył przez placyk ku miejscu, gdzie stała czarna limuzyna. Gniewnie przysunął twarz do twarzy kierowcy, który nie cofnął się, tylko otworzył portfel, pokazując zieloną legitymację. Sonny odstąpił w tył bez słowa. Splunął tak, że ślina trafiła w tylne drzwi limuzyny, i odszedł. Miał nadzieję, że kierowca wysiądzie i ruszy za nim przez placyk, ale tak się nie stało. Kiedy dotarł do schodów, powiedział ojcu:

– Ci goście są z FBI. Zapisują numery wszystkich wozów. Paskudne dranie.

Don Corleone orientował się, co to za jedni. Jego najbliższym i najlepszym przyjaciółom doradzono, żeby przyjechali na wesele nie swoimi samochodami. I chociaż nie pochwalał niemądrego odruchu złości syna, wybryk ten był pożyteczny. Mógł przekonać intruzów, że ich obecność jest nieprzewidywana i niepożądana. Tak więc sam don Corleone nie był rozżłoszczony. Dawno już nauczył się, że społeczeństwo mnoży zniewagi, które trzeba znosić, pocieszając się świadomością, że na tym świecie przychodzi czas, kiedy najskromniejszy z ludzi, jeżeli ma otwarte oczy, może się zemścić na najbardziej możnych. Ta świadomość sprawiła, że don nie utracił owej pokory, którą w nim podziwiali wszyscy przyjaciele.

Tymczasem w ogrodzie za domem zaczęła właśnie grać czteroosobowa orkiestra. Wszyscy goście już przybyli. Don Corleone przestał myśleć o intruzach i poprowadził obydwu synów na zabawę weselną.

W WIELKIM OGRODZIE ZEBRAŁY się SETKI gości; jedni tańczyli na drewnianym podium ozdobionym kwiatami, inni siedzieli przy długich stołach, zastawionych przyprawionymi na ostro potrawami oraz wielkimi dzbanami domowego czerwonego wina. Panna młoda, Connie Corleone, siedziała w pełni splendoru przy specjalnym stole na podwyższeniu, wraz z panem młodym, pierwszą druhną, druhnami i družbami. Była to wiejska oprawa w dawnym włoskim stylu. Nie przypadła do gustu pannie młodej, ale Connie zgodziła się na „makaroniarskie” wesele, by sprawić przyjemność ojcu, ponieważ tak bardzo mu się naraziła wyborem męża.

Pan młody, Carlo Rizzi, był półkrwi Sycylijczykiem, zrodzonym z

sycylijskiego ojca i matki z północnych Włoch, po której odziedziczył blond włosy i niebieskie oczy. Rodzice jego mieszkali w Nevadzie, a Carlo opuścił ten stan wskutek drobnego zatargu z prawem. W Nowym Jorku zetknął się z Sonnym Corleone i w ten sposób poznał jego siostrę. Don Corleone, ma się rozumieć, posłał do Nevady zaufanych przyjaciół, którzy donieśli, że kłopoty Carla z policją były młodzieńczą nieogłędnością w posługiwaniu się bronią, rzeczą niepoważną, którą można bez trudu wymazać z akt, by młody człowiek miał czysty rejestr. Wrócili także ze szczegółowymi informacjami o legalnym hazardzie w Nevadzie, które ogromnie zainteresowały dona i nad którymi zastanawiał się od tamtej pory. Do wielkości dona należało to, że czerpał korzyść z każdej rzeczy.

Connie Corleone była niezbyt ładną dziewczyną, chudą, nerwową, taką, która musiała stać się jędzowata w późniejszym życiu. Jednakże dzisiaj, przeobrażona przez białą ślubną suknię, była taka promienna, że niemal piękna. Jej dłoń pod drewnianym stołem spoczywała na muskularnym udzie pana młodego. Ustami posyłała mu pocałunki.

Uważała go za niewiarygodnie przystojnego. Carlo Rizzi, kiedy był bardzo młody, pracował na pustyni, wykonując ciężką fizyczną robotę. Teraz miał potężne przedramiona, a bary rozsadały marynarkę jego smokingu. Napawał się adorującym wzrokiem oblubienicy i dolewał jej wina. Był dla niej wymyślnie uprzejmy, tak jakby oboje grali w jakiejś sztuce. Jednakże jego oczy ciągle zerkały ku pojemnej jedwabnej torebce, którą panna młoda miała zawieszoną na prawym ramieniu i która była teraz wypchana kopertami z pieniędzmi. Ile tam tego było? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia tysięcy? Carlo Rizzi uśmiechnął się. To dopiero początek. Bądź co bądź, wzenił się w królewską rodzinę. Będą musieli o niego dbać.

W tłumie gości zgrabny młody człowiek z głową łasicy też przypatrywał się bacznie jedwabnej torebce. Ze zwykłego przyzwyczajenia Paulie Gatto zastanawiał się, jak by też przystąpił do zwędzenia tej opasłej sakiewki. Myśl ta bawiła go. Wiedział, że są to czcze, niewinne rojenia, podobnie jak małe dzieci roją sobie, że rozbijają czołgi z pukawek. Obserwował swojego szefa, tłustego mężczyznę w średnim wieku, Petera Clemenzę, który wirował z młodymi dziewczętami po drewnianym parkiecie w wiejskiej, rozhułkanej tarantelli. Clemenza, człowiek olbrzymiego wzrostu, olbrzymiej tuszy, tańczył tak umiejętnie i z taką swobodą, lubieżnie ocierając się twardym brzuchem o biusty młodszych drobniejszych kobiet, że wszyscy goście go oklaskiwali. Starsze kobiety chwyciły go za ramię, by też z nim zatańczyć. Młodszy mężczyźni z uszanowaniem wycofywali się z parkietu i klaskali w takt rozszalałych dźwięków mandoliny. Kiedy Clemenza w końcu opadł na krzesło, Paulie Gatto przyniósł mu szklankę lodowatego czerwonego

wina i otarł jedwabną chustką spocone jowiszowe czoło. Clemenza sapął jak wieloryb, łykając wino. Jednakże zamiast podziękować Pauliemu, powiedział krótko:

– Nie baw się w sędziego od tańca, rób swoje. Przejdź się po terenie i sprawdź, czy wszystko w porządku.

Paulie wśliznął się w tłum.

Orkiestra zrobiła przerwę, by się odświeżyć. Młody człowiek, Nino Valenti, wziął porzuconą mandolinę, postawił lewą stopę na krześle i zaczął śpiewać rozwiazłą sycylijską piosenkę miłosną. Twarz Nina Valenti była przystojna, chociaż obrzmiała od ustawicznego picia, i był już trochę wstawiony. Wywracał oczami, gdy jego język pieścił sprośne słowa piosenki. Kobiety piszczały z uciechy, a mężczyźni wykrzykiwali wraz ze śpiewakiem ostatni wyraz każdej strofki.

Don Corleone, znany z surowości w takich sprawach, wycofał się taktownie do domu, choć jego tęga żona pokrzykiwała radośnie razem z innymi. Widząc to, Sonny Corleone przecisnął się do stołu panny młodej i usiadł obok pierwszej drużny, Lucy Mancini. Byli bezpieczni. Jego żona dokonywała w kuchni ostatnich zabiegów przed podaniem tortu weselnego. Sonny szepnął dziewczynie parę słów do ucha i ta wstała. Odczekał parę minut i od niechcienia ruszył za nią. Przeciskał się przez tłum, zatrzymując się tu i ówdzie, by porozmawiać z którymś z gości.

Wszystkie oczy podążały za nimi. Pierwsza drużna, całkowicie zamerykanizowana przez trzy lata college'u, była dojrzałą dziewczyną, mającą już „reputację”. Przez cały okres prób przed ceremonią ślubu flirtowała z Sonnym Corleone w sposób przekorny, żartobliwy, uważając, że jest to dozwolone, ponieważ Sonny był drużbą, a ona jego weselną partnerką. Teraz, uniósłszy różową suknię znad ziemi, Lucy Mancini weszła do domu, uśmiechając się ze sztuczną niewinnością, i wbiegła lekko po schodach do toalety. Pozostała tam kilka minut. Kiedy wyszła, Sonny Corleone był już na podeście i dał jej znak, by się udała wyżej.

Zza zamkniętego okna gabinetu dona Corleone, nieco podwyższonego narożnego pokoju, Thomas Hagen obserwował zabawę w ozdobionym festonami ogrodzie. Za sobą miał ściany zastawione książkami prawniczymi. Hagen był adwokatem i *consigliori*, czyli doradcą dona, i jako taki zajmował najważniejsze podległe stanowisko w interesach Rodziny. Obaj z donem rozwiązywali w tym pokoju wiele zawiłych problemów, toteż kiedy zobaczył, że Ojciec Chrzestny wycofuje się z zabawy i wchodzi do domu, wiedział, że czy jest wesele, czy nie, będzie tego dnia trochę roboty. Don idzie z nim porozmawiać. A potem Hagen zauważył, że Sonny Corleone szepcze coś do ucha Lucy Mancini, i widział ich małą komedię, kiedy Sonny szedł za

nią do domu. Hagen skrzywił się, zastanowił, czy powiadomić dona, ale zdecydował, że tego nie zrobi. Podszedł do biurka i wziął ręcznie spisaną listę osób, którym udzielono zezwolenia na prywatną rozmowę z donem Corleone. Kiedy don wszedł do pokoju, Hagen podał mu listę. Don Corleone skinął głową i powiedział:

– Zostaw Bonasere na koniec.

Hagen wyszedł drzwiami balkonowymi prosto do ogrodu, gdzie petenci skupili się wokół beczki wina. Wskazał palcem puciołowatego piekarza, Nazorine'a.

Don Corleone uściśkał piekarza na powitanie. Bawili się razem jako dzieci we Włoszech i dorastali w przyjaźni. W każdą Wielkanoc napływały do domu dona Corleone świeżo upieczone serniki i pszenne placki, ze skórką złotą od żółtka, ogromne jak koła ciężarówek. W Boże Narodzenie, w dni urodzin suto oblane kremem ciastka świadczyły o szacunku Nazorine'a. A przez wszystkie lata, tłuste czy chude, Nazorine ochoczo wpłacał składki związkowi piekarzy zorganizowanemu przez dona za jego młodzieńczych lat. Nigdy nie prosił w zamian o żadną uprzejmość, z wyjątkiem możliwości zakupienia na czarnym rynku bonów na cukier, wypuszczanych przez urząd regulacji cen w czasie wojny. Teraz nadeszła dla piekarza, jako lojalnego przyjaciela, pora upomnienia się o swoje prawa i don Corleone z wielką przyjemnością myślał o spełnieniu jego prośby.

Poczęstował piekarza cygarem Di Nobili oraz kieliszkiem złotej stregi i położył mu dłoń na ramieniu, aby go przynaglić do mówienia. To było świadectwem dobroci dona. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, jakiej trzeba odwagi, by prosić drugiego człowieka o łaskę.

Piekarz opowiedział historię swej córki i Enza. Miły włoski chłopak z Sycylii, wzięty do niewoli przez wojska amerykańskie, odesłany do Stanów Zjednoczonych jako jeńiec wojenny i zwalniany warunkowo, aby pomagać w naszym wysiłku wojennym! Czysta i uczciwa miłość zrodziła się między zacnym Enzem a wychuchaną Katherine, ale teraz, kiedy wojna się zakończyła, biedny chłopiec miałby być repatriowany do Włoch i córka Nazorine'a na pewno umarłaby ze zmartwienia. Jedyne Ojciec Chrzestny Corleone mógł dopomóc tej ciężko doświadczonej parze. Był jej ostatnią nadzieją.

Don prowadził Nazorine'a tam i z powrotem po pokoju, trzymając mu rękę na ramieniu, kiwając głową ze zrozumieniem, aby mu dodać odwagi. Kiedy piekarz skończył, don Corleone uśmiechnął się do niego i rzekł:

– Mój drogi przyjacielu, odsuń od siebie wszelkie zmartwienia.

Następnie wyjaśnił bardzo dokładnie, co należy zrobić. Trzeba zwrócić

się z petycją do okręgowego kongresmana. Kongresman przedłożył specjalny projekt ustawy, która pozwoliłaby Enzowi uzyskać obywatelstwo. Projekt ten z pewnością przejdzie w Kongresie. Jest to przywilej, którego wszystkie te dranie udzielają sobie wzajemnie. Don Corleone wyjaśnił, że będzie to kosztowało; obecnie cena wynosi dwa tysiące dolarów. On, don Corleone, zagwarantuje załatwienie sprawy i przyjmie zapłatę. Czy jego przyjaciel się zgadza?

Piekarz energicznie pokiwał głową. Nie spodziewał się tak wielkiej łaski za nic. To było zrozumiałe. Specjalny akt Kongresu nie wypada tanio. Nazorine dziękował niemal ze łzami. Don Corleone odprowadził go do drzwi, zapewniając, że kompetentni ludzie zostaną przysłani do piekarni, aby załatwić wszelkie szczegóły, skompletować wszystkie potrzebne dokumenty. Piekarz uściskał go, zanim zniknął w ogrodzie.

Hagen uśmiechnął się do dona.

– To dobra inwestycja dla Nazorine’a. Zięć i tani dożywotni pomocnik w piekarni, a wszystko razem za dwa tysiące dolarów. – Przerwał. – Komu mam dać tę robotę?

Don Corleone zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Nie naszemu *paisan*. Daj to temu Żydowi, który mieszka w sąsiedniej dzielnicy. Każ zmienić adresy domowe. Myślę, że teraz, po wojnie, może być dużo takich przypadków. Powinniśmy mieć dodatkowych ludzi w Waszyngtonie, którzy mogliby załatwiać napływ tych spraw, nie podnosząc ceny. – Hagen zanotował coś sobie na bloku. – Nie kongresman Luteco. Spróbuj Fischera.

Następny petent, którego Hagen wprowadził, miał sprawę bardzo prostą. Nazywał się Anthony Coppola i był synem człowieka, z którym don Corleone pracował za młodu w warsztatach kolejowych. Coppola potrzebował pięciuset dolarów, aby otworzyć pizzerię – na kaucję za urządzenie oraz specjalny piec. Z przyczyn, w które nie wnikano, nie mógł uzyskać kredytu. Don sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek banknotów. Nie było całej sumy. Skrzywił się i poprosił Toma Hageną:

– Pożycz mi sto dolarów, zwrócę ci w poniedziałek, jak pójde do banku.

Potent zaczął zapewniać, że czterysta dolarów wystarczy aż nadto, ale don Corleone poklepał go po ramieniu, mówiąc tonem usprawiedliwienia:

– Przez to frymuśne wesele trochę mi zabrakło gotówki.

Wziął podane przez Hageną pieniądze i wręczył je Anthony’emu Coppoli wraz z własnym zwitkiem banknotów.

Hagen przypatrywał się temu z cichym podziwem. Don zawsze uczył, że kiedy ktoś jest szczodrośliwy, musi okazać tę szczodrośliwość jako coś

osobistego. Jakież to pochlebne dla Anthony'ego Coppoli, że taki człowiek jak don pożycza pieniądze, aby jemu udzielić pożyczki! Coppola oczywiście wiedział, że don jest milionerem, ale iluż milionerów pozwala, by spotkała ich choćby drobna niedogodność z winy ubogiego przyjaciela?

Don podniósł pytająco głowę.

– Luca Brasi nie jest na liście, ale chce się z panem zobaczyć – powiedział Hagen. – Rozumie, że to nie może się odbyć publicznie, ale chce panu powinszować.

Po raz pierwszy don wydał się niezadowolony. Odpowiedź była wymijająca.

– Czy to konieczne? – zapytał.

Hagen wzruszył ramionami.

– Pan go rozumie lepiej niż ja. Ale jest bardzo wdzięczny, że pan go zaprosił na wesele. Nigdy się tego nie spodziewał. Myślę, że chce okazać swoją wdzięczność.

Don Corleone kiwnął głową i dał znak, żeby przyprowadzić do niego Lucę Brasiego.

W ogrodzie Kay Adams zdumiała się gwałtowną furią odmalowaną na twarzy Luki Brasiego. Spytała o niego. Michael przyprowadził Kay na wesele, ażeby powoli i może bez zbyt dużego wstrząsu wchłonęła prawdę o jego ojcu. Jednakże jak dotąd zdawała się uważać dona za odrobinę nieetycznego biznesmena. Michael postanowił powiedzieć jej część prawdy pośrednio. Wyjaśnił, że Luca Brasi jest jednym z ludzi budzących największy postrach w świecie podziemnym na Wschodnim Wybrzeżu. Mówiono, że jego wielki talent polega na tym, że potrafi dokonać morderstwa sam jeden, bez współników, co automatycznie czyni wykrzyk i zasądzenie prawie niepodobieństwem. Michael skrzywił się i dodał:

– Nie wiem, czy to wszystko prawda. Ale wiem, że jest przyjacielem ojca.

Po raz pierwszy Kay zaczęła rozumieć. Spytała z lekkim niedowierzaniem:

– Chyba nie dajesz do zrozumienia, że taki człowiek pracuje dla twego ojca?

Do diabła z tym, pomyślał. Powiedział prosto z mostu:

– Blisko piętnaście lat temu pewni ludzie chcieli przejąć import oliwy, który prowadził mój ojciec. Próbowali go zabić i o mało im się to nie udało. Luca Brasi zaczął ich tropić. Podobno zabił sześciu ludzi w dwa tygodnie i to zakończyło słynną wojnę o oliwę. – Uśmiechnął się tak, jakby to był żart.

Kay wzdrygnęła się.

– To znaczy, że do twojego ojca strzelali gangsterzy?

– Piętnaście lat temu – wyjaśnił Michael. – Od tej pory jest spokój. – Złaskł się, że posunął się za daleko.

– Próbujesz mnie przestraszyć – powiedziała Kay. – Po prostu nie chcesz, żebym za ciebie wyszła. – Uśmiechnęła się i dała mu kuksańca w bok. – Bardzo sprytne.

Michael odwzajemnił jej uśmiech.

– Chcę, żebyś się nad tym zastanowiła – odrzekł.

– Naprawdę zabił sześciu ludzi? – spytała.

– Tak twierdziły gazety – odparł Mike. – Nikt tego nigdy nie udowodnił. Ale jest inna historia na jego temat, której nikt nigdy nie opowiada. Podobno jest taka straszna, że nawet ojciec nie chce o tym mówić. Tom Hagen ją zna i nie chce mi jej zdradzić. Raz się z nim przekomarzałem i zapytałem: „Kiedy będę dostatecznie dorosły, żeby usłyszeć tę historię o Luce?”, a Tom powiedział: „Jak będziesz miał sto lat”. – Michael napił się wina. – To musi być nie byle jaka historia. I nie byle jaki ten Luca.

Istotnie, Luca Brasi był człowiekiem, który przestraszyłby samego diabła w piekle. Niski, przysadzisty, o masywnej czaszce, samą swą obecnością nadawał sygnały zagrożenia. Jego twarz jakby zakrzepła w maskę furii. Oczy miał piwne, ale bez ciepła właściwego tej barwie, raczej matowopłowe. Usta były nie tyle okrutne, co bez życia – wąskie, gumowate, koloru cielęciny.

Opinia o gwałtowności Brasiego budziła grozę, a jego oddanie donowi Corleone było legendarne. Sam w sobie stanowił jeden z wielkich bloków podtrzymujących strukturę władzy dona. Tacy jak on należeli do rzadkości.

Luca Brasi nie bał się policji, nie bał się społeczeństwa, nie bał się Boga, nie bał się piekła, nie bał się ani nie kochał bliźniego. Ale zdecydował się, postanowił sobie bać się i kochać dona Corleone. Przyprawiony przed oblicze dona, straszliwy Brasi cały zeszytywniał z respektu. Wybąkał kwieciste powinszowania i wyrazy nadziei, że pierwsze wnuczę będzie rodzaju męskiego. Następnie wręczył donowi kopertę wypchaną gotówką jako prezent dla nowożeńców.

A więc to chciał uczynić. Hagen zauważył zmianę w donie Corleone. Don przyjął Brasiego tak, jak król wita poddanego, który wyświadczył mu ogromną przysługę – bez poufałości, ale z monarszym szacunkiem. Każdym swym gestem, każdym słowem don Corleone wyraźnie okazywał Brasiemu, że jest ceniony. Ani przez chwilę nie pokazał zdziwienia, że prezent ślubny zostaje wręczony jemu osobiście. Zrozumiał.

Pieniądzy w kopercie było bez wątpienia więcej, niż ich dał ktokolwiek inny. Brasi poświęcił wiele godzin na powzięcie decyzji co do sumy, na porównywanie jej z tym, co mogą ofiarować inni goście. Chciał być najhojniejszy, aby pokazać, że ma najwięcej szacunku, i dlatego wręczył

kopertę donowi osobiście, którą to niezręczność don pominął w kwiecistych słowach podziękowania. Hagen widział, jak twarz Luki Brasiego pozbywa się maski furii i nabrzmiewa dumą i satysfakcją. Brasi ucałował dłoń dona, nim wyszedł drzwiami, które otworzył mu Hagen. Hagen przezornie obdarzył Brasiego przyjaznym uśmiechem, który krępy mężczyzna pokwitował uprzejmym rozciągnięciem gumowatych warg barwy cielęciny.

Kiedy drzwi się zamknęły, don Corleone wydał ciche westchnienie ulgi. Brasi był jedynym człowiekiem na świecie, który potrafił przyprowadzić go o nerwowość. Był jakby siłą natury, w gruncie rzeczy niepodlegającą kontroli. Należało obchodzić się z nim ostrożnie jak z dynamitem. Don wzruszył ramionami. Nawet dynamit można detonować bez szkody, jeżeli zajdzie potrzeba. Popatrzył pytająco na Hageną.

– Czy został tylko Bonasera?

Hagen kiwnął głową. Don Corleone zmarszczył brwi w zamyśleniu, po czym rzekł:

– Zanim go wprowadzisz, powiedz Santinowi, żeby tu przyszedł. Powinien nauczyć się pewnych rzeczy.

Wyszedszy do ogrodu, Hagen zaczął pilnie rozglądać się za Sonnym Corleone. Powiedział Bonasera, żeby czekał cierpliwie, po czym podszedł do Michaela Corleone i jego dziewczyny.

– Widziałeś gdzieś Sonny'ego? – zapytał.

Michael pokręcił głową. Do diabła, pomyślał Hagen, jeżeli Sonny przez cały ten czas rżnie pierwszą druhnę, będzie z tego masa kłopotów. Jego żona, rodzina dziewczyny; może dojść do katastrofy. Niespokojnie pospieszył do wejścia, w którym prawie pół godziny temu widział znikającego Sonny'ego.

Widząc, że Hagen wchodzi do domu, Kay Adams zapytała Michaela Corleone:

– Kto to taki? Przedstawiłeś go jako brata, a przecież ma inne nazwisko i na pewno nie wygląda na Włocha.

– Tom mieszkał z nami od dwunastego roku życia – odrzekł Michael.
– Jego rodzice umarli i włóczył się po ulicach z paskudną infekcją oka. Sonny sprowadził go któregoś wieczoru do domu i Tom po prostu został. Nie miał gdzie iść. Mieszkał u nas, dopóki się nie ożenił.

Kay Adams była zachwycona.

– To naprawdę romantyczne! – zawołała. – Twój ojciec musi mieć bardzo dobre serce. Tak zaadoptować kogoś, kiedy ma się tyle własnych dzieci.

Michael nie zadał sobie trudu, aby nadmienić, że włoscy imigranci uważają czworo dzieci za nieliczną rodzinę. Powiedział jedynie:

– Tom nie został zaadoptowany. Po prostu zamieszkał z nami.

– Ach, tak – rzekła Kay, po czym spytała z zaciekawieniem: – Czemu go nie adoptowaliście?

Michael roześmiał się.

– Bo ojciec stwierdził, że byłoby nieposzanowaniem, gdyby Tom zmienił nazwisko. Nieposzanowaniem wobec jego rodziców.

Spostrzegli Hagenę wprowadzającego Sonny'ego przez drzwi balkonowe do gabinetu dona, a potem kiwającego palcem na Ameriga Bonaserę.

– Dlaczego oni w takim dniu zwracają twojemu ojcu głowę interesami? – spytała Kay.

Michael roześmiał się znowu.

– Bo wiedzą, że zgodnie z tradycją żaden Sycylijczyk nie może odmówić prośbie w dniu ślubu córki. I żaden Sycylijczyk nie przepuszcza takiej okazji.

LUCY MANCINI UNIOSŁA RÓŻOWĄ SUKNIĘ i wbiegła na schody. Pызata, kupidynowa twarz Sonny'ego Corleone, obleśnie zaczerwieniona od wina i żączy, budziła w niej lęk, ale Lucy prowokowała go przez ubiegły tydzień właśnie w tym celu. Podczas swych dwóch przygód miłosnych w college'u nie czuła nic, i żadna z nich nie trwała dłużej niż tydzień. Jej drugi kochanek, pokłóciwszy się z nią, bąknął coś na temat tego, że „jest za duża tam niżej”. Lucy zrozumiała i przez resztę studiów odmawiała chodzenia na randki.

W lecie, podczas przygotowań do ślubu swojej najbliższej przyjaciółki, Connie Corleone, Lucy słyszała szeptane opowieści o Sonnym. Któregoś niedzielnego popołudnia żona Sonny'ego, Sandra, plotkowała swobodnie w kuchni. Sandra była prostą, poczciwą kobietą, która urodziła się we Włoszech, ale została przywieziona do Ameryki jako małe dziecko. Była mocno zbudowana, miała duże piersi i urodziła już troje dzieci w ciągu pięciu lat małżeństwa. Sandra i inne kobiety przekomarzały się z Connie na temat okropności małżeńskiego łoża. „Mój Boże – chichotała Sandra – jakem pierwszy raz zobaczyła ten drąg Sonny'ego i zdałam sobie sprawę, że mi go wsadzi, zaczęłam się drzeć, jakby mnie mordowali. Po pierwszym roku miałam wszystko w środku rozklejone jak makaron po godzinie gotowania. Kiedy się dowiedziałam, że posuwa inne dziewczyny, poleciałam do kościoła i zapaliłam świeczkę”.

Wszystkie się roześmiały, ale Lucy poczuła, że drgają jej uda.

Gdy teraz wbiegała po schodach do Sonny'ego, przez jej ciało przeleciał ogromny błysk pożądania. Na podeście Sonny złapał ją za rękę i pociągnął korytarzem do pustej sypialni. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, nogi ugięły

się pod Lucy. Poczwała usta Sonny'ego na swoich, jego wargi miały gorzki smak wypalonego tytoniu. Rozchyliła usta. W tej chwili poczuła jego rękę wsuwającą się pod suknię, usłyszała szelest pękającego materiału między nogami, poczuła wielką, ciepłą dłoń Sonny'ego, która rozdzierała atlasowe majteczki, aby popieścić jej srom. Objęła Sonny'ego za szyję i tak zawisła, kiedy rozpiął spodnie. Potem podłożył obie dłonie pod jej nagie pośladki i uniół ją. Podskoczyła lekko, tak że jej nogi oplotły jego biodra. Język Sonny'ego był w jej ustach i ssała go. Pchnął ją tak dziko, że uderzyła głową o drzwi. Poczwała, że coś palącego wsuwa się między jej uda. Opuściła prawą rękę z jego szyi i sięgnęła w dół, aby go naprowadzić. Jej dłoń objęła olbrzymi, nabiegły krwią drąg mięśni. Pulsował w jej ręce jak żywe stworzenie i niemal płacząc w pełnej wdzięczności ekstazie, nakierowała go w swoje wilgotne, obrzmiałe ciało. Wszedł w nią i niewiarygodna przyjemność zaparła jej dech w piersiach; zadarła nogi niemal do szyi Sonny'ego i wtedy w jej ciało, niczym w kołczan, zaczęły przenikać szalone strzały jego błyskawicznych pchnięć, niezliczonych, dręczących; wypychała krocze coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie po raz pierwszy w życiu dosięgła wstrząsającego szczytu, poczuła załamującą się twardość, a potem strumień nasienia ociekający po udach. Powoli jej nogi rozluźniły się wokoło jego ciała i osunęły w dół, aż wreszcie dotknęły podłogi. Oboje oparli się o siebie bez tchu.

Możliwe, że trwało to już od jakiegoś czasu, ale dopiero teraz usłyszeli ciche pukanie do drzwi. Sonny szybko zapiął spodnie zapałszy się o drzwi, aby nie można ich było otworzyć. Lucy gorączkowo obciążała różową suknię, oczy jej błyszczały, ale to, co jej dało tyle przyjemności, było już ukryte pod skromnym, czarnym materiałem. A potem usłyszeli głos Toma Hagen, bardzo ściszony:

– Sonny, jesteś tam?

Sonny odetchnął z ulgą. Mrugnął do Lucy.

– Tak, Tom, o co chodzi?

Hagen, wciąż przyciszonym głosem, powiedział:

– Don chce, żebyś przyszedł do jego gabinetu. Zaraz.

Potem usłyszeli jego oddalające się kroki. Sonny odczekał kilka chwil, pocałował mocno Lucy w usta, po czym wysunął się z pokoju za Hagenem.

Lucy poczesła sobie włosy. Sprawdziła suknię i podciągnęła podwiązki. Ciało miała obolałe, wargi rozpulchnione i nadwrażliwe. Wyszła z pokoju i chociaż czuła między udami lepką wilgotność, nie zaszła do łazienki, aby się obmyć, lecz zbiegła prosto po schodach do ogrodu. Usiadła na swoim miejscu przy stole panny młodej, obok Connie, która wykrzyknęła z rozdrażnieniem:

– Lucy, gdzieś ty była?! Wyglądasz na pijaną. Zostań teraz przy mnie.

Jasnowłosy pan młody nalał Lucy wina i uśmiechnął się porozumiewawczo. Lucy było to obojętne. Podniosła do spieczonych ust gronowy, ciemnoczerwony płyn i wypła. Czowała lepką wilgotność między udami i ścisnęła nogi. Ciało jej drżało. Gdy piła, oczy ponad krawędzią szklanki szukały chciwie Sonny'ego Corleone. Nie pragnęła widzieć nikogo innego. Szepnęła chytrze do ucha Connie:

– Jeszcze parę godzin i będziesz wiedziała, jak to jest.

Connie zachichotała. Lucy złożyła skromnie dłonie na stole, zdradziecko triumfująca, tak jakby skradła jakiś skarb pannie młodej.

AMERIGO BONASERA WSZEDŁ ZA HAGENEM do narożnego pokoju i zastał dona Corleone siedzącego za olbrzymim biurkiem. Przy oknie stał Sonny Corleone, wyglądając na ogród. Po raz pierwszy tego popołudnia don zachował się chłodno. Nie uściskał gościa ani nie podał mu ręki. Wybladły przedsiębiorca pogrzebowy zawdzięczał zaproszenie faktowi, że jego żona i żona dona były najbliższymi przyjaciółkami. Sam Amerigo Bonasera był w głębokiej niełasce u dona Corleone.

– Musi pan wybaczyć mojej córce, chrzestnej córce pana żony, że nie złożyła waszej rodzinie uszanowania, przychodząc dzisiaj. Jeszcze jest w szpitalu.

Zerknął na Sonny'ego Corleone i Toma Hagenę, by dać do zrozumienia, że nie chce mówić przy nich. Ale don był nieubłagany.

– Wszyscy wiemy o nieszczęściu twojej córki – powiedział don Corleone. – Jeżeli mogę jej w czymś pomóc, wystarczy ci powiedzieć. Bądź co bądź, moja żona jest jej matką chrzestną. Nigdy nie zapomniałem o tym zaszczyście.

Była to nagana. Przedsiębiorca pogrzebowy nigdy nie zwracał się do dona Corleone „Ojczy Chrzestny”, tak jak nakazywał zwyczaj.

Bonasera, z poszarzałą twarzą, zapytał teraz wprost:

– Czy mógłbym pomówić z panem sam na sam?

Don Corleone pokręcił głową.

– Tym dwóm ludziom zawierzyłbym własne życie. Są moimi dwiema prawymi rękami. Nie mogę ich obrazić, każąc im odejść.

Przedsiębiorca pogrzebowy zamknął na chwilę oczy, po czym zaczął mówić. Jego głos był spokojny – ten głos, którym posługiwał się do pocieszenia osieroconych.

– Wychowałem moją córkę na sposób amerykański. Wierzę w Amerykę. Ameryka dała mi majątek. Pozostawiłem córce swobodę, ale uczyłem ją nigdy nie hańbić rodziny. Znalazła sobie chłopca, nie-Włocha.

Chodziła z nim do kina. Wracała późno. Ale nigdy nie przyszedł poznać jej rodziców. Przyjmowałem to wszystko bez protestu, wina jest moja. Dwa miesiące temu zabrał ją na przejażdżkę. Miał ze sobą kolegę. Zmusili ją do picia whisky, a potem próbowali ją wykorzystać. Opierała się. Zachowała swoją cześć. Pobili ją. Jak zwierzę. Kiedy poszedłem do szpitala, miała podbite oczy. Złamany nos. Pękniętą szczękę. Trzeba ją było zdrutować. Płakała z bólu. „Ojczy, ojczy dlaczego oni to zrobili? Dlaczego mi to zrobili?” I ja płakałem.

Bonasera nie mógł dalej mówić, rozplakał się, chociaż dotąd jego głos nie zdradzał wzruszenia.

Don Corleone, jak gdyby wbrew swojej woli, uczynił gest współczucia, i Bonasera zaczął mówić dalej, głosem pełnym ludzkiego cierpienia:

– Dlaczego płakałem? Ona była światłem mojego życia, czuła córką. Piękną dziewczyną. Ufała ludziom, a teraz już nigdy nie będzie im ufała. Już nigdy nie będzie piękna.

Drżał, a jego woskowa twarz powlekała się złą, ciemną czerwienią.

– Poszedłem na policję, jak na dobrego Amerykanina przystało. Obaj zostali aresztowani. Przyprawiono ich na rozprawę. Dowody były przytłaczające, więc się przyznali do winy. Sędzia skazał ich na trzy lata więzienia i zawiesił wyrok. Zwolnili ich tego samego dnia. Stałem w sali sądowej jak głupiec, a te dranie uśmiechały się do mnie. I wtedy powiedziałem żonie: „Musimy iść do dona Corleone”.

Don pochylił głowę, aby okazać szacunek dla bólu tego człowieka. Jednakże kiedy przemówił, jego słowa były zimne od urażonej godności:

– Dlaczego poszedłeś na policję? Dlaczego nie przyszedłeś do mnie na początku tej sprawy?

Bonasera wymamrotał niemal niedosłyszalnie:

– Czego pan chce ode mnie? Niech pan powie, czego pan sobie życzy? Ale niech pan zrobi to, o co proszę. – W jego słowach było coś prawie zuchwałego.

Don Corleone zapytał poważnie:

– A o co chodzi?

Bonasera zerknął na Hagenę i Sonny'ego Corleone i pokręcił głową. Don, siedzący nadal przy biurku Hageny, pochylił się ku przedsiębiorcy pogrzebowemu. Bonasera zawahał się, potem nachylił i przysunął usta tak blisko do owłosionego ucha dona, że prawie go dotknął. Don Corleone słuchał jak ksiądz w konfesjonale, spoglądając w dal, nieporuszony, zamysłony. Trwali tak długą chwilę, aż wreszcie Bonasera przestał szeptać i wyprostował się na całą wysokość. Don popatrzył na niego z powagą. Bonasera, z poczerwieniałą twarzą, odwzajemnił nieugięte spojrzenie. W

końcu don przemówił:

– Tego nie mogę zrobić. Ponosi cię.

Bonasera powiedział głośno, wyraźnie:

– Zapłacę, ile pan zechce.

Słyszając to, Hagen drgnął, nerwowo targnął głową. Sonny Corleone skrzyżował ramiona i uśmiechnął się sardonicznie, odwracając się od okna, by po raz pierwszy popatrzeć na scenę rozgrywającą się w pokoju.

Don Corleone wstał zza biurka. Twarz miał nadal nieporuszoną, ale jego głos brzmiał lodowato.

– Znamy się od wielu lat – przemówił do przedsiębiorcy pogrzebowego – ale do dzisiejszego dnia nigdy nie przychodziłeś do mnie po radę czy pomoc. Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio zaprosiłeś mnie do swego domu na kawę, chociaż moja żona jest matką chrzestną twojego jedyne go dziecka. Bądźmy ze sobą szczerzy. Pogardziłeś moją przyjaźnią. Bałeś się być moim dłużnikiem.

– Nie chciałem popaść w kłopoty – wymamrotał Bonasera.

Don podniósł rękę.

– Nic nie mów. Uznałeś, że Ameryka jest rajem. Interes szedł ci dobrze, zarabiałeś na dobre życie, uważałeś świat za nieszkodliwe miejsce, gdzie możesz do woli korzystać z przyjemności. Nigdy nie otoczyłeś się prawdziwymi przyjaciółmi. Bądź co bądź chroniła cię policja, istniały sądy, tobie i twoim nie mogło stać się nic złego. Nie potrzebowałeś dona Corleone. W porządku. Moje uczucia były zranione, ale nie jestem człowiekiem, który narzucałby swoją przyjaźń tym, którzy jej nie cenią... tym, którzy uważają, że niewiele się liczą. – Don przerwał i uśmiechnął się do przedsiębiorcy pogrzebowego uprzejmym, ironicznym uśmiechem. – A teraz przychodzisz do mnie i powiadasz: don Corleone, proszę o sprawiedliwość. I nie prosisz z uszanowaniem. Nie ofiarowujesz mi swej przyjaźni. Przychodzisz do mojego domu w dzień ślubu mojej córki i prosisz mnie o dokonanie morderstwa, i mówisz – tu głos dona stał się szyderczym przedrzeźnianiem – zapłacę, ile pan zechce. Nie, nie jestem obrażony, ale co ja zrobiłem, że mnie traktujesz tak bez szacunku?

Bonasera wykrzyknął w udręce i strachu:

– Ameryka była dla mnie dobra! Chciałem być dobrym obywatelem. Chciałem, żeby moja córka była Amerykanką.

Don klasnął w dłonie z wyraźną aprobatą.

– Dobrze powiedziane. Doskonale. Więc nie masz na co się skarżyć. Sędzia wydał wyrok. Ameryka wydała wyrok. Zanieś córce kwiaty i pudełko łakoci, jak pójdziesz ją odwiedzić w szpitalu. To ją pocieszy. Bądź zadowolony. Ostatecznie to nie jest poważna sprawa, chłopcy byli młodzi,

rozhlukani, a jeden z nich jest synem wpływowego polityka. Nie, mój drogi Amerigo, ty zawsze byłeś uczciwy. Muszę przyznać, choć pogardziłeś moją przyjaźnią, że bardziej ufalbym słowu Ameriga Bonasery niż czyjemukolwiek innemu. Dlatego daj mi słowo, że wyrzekniesz się tego szaleństwa. To nie po amerykańsku. Przebaczone. Zapomnij. Życie jest pełne nieszczęść.

Okrutna i pogardliwa ironia, z jaką to wszystko zostało powiedziane, hamowany gniew dona przemieniły biednego przedsiębiorcę pogrzebowego w dygoczącą galaretę, lecz mimo to przemówił dzielnie znowu:

– Proszę o sprawiedliwość.

Don Corleone odparł krótko:

– Sąd wymierzył ci sprawiedliwość.

Bonasera uparcie pokręcił głową.

– Nie. Wymierzył sprawiedliwość tym młodemu. Nie mnie.

Don skwitował to subtelne rozróżnienie aprobującym kiwnięciem głowy, po czym zapytał:

– Jaka jest twoja sprawiedliwość?

– Oko za oko – odrzekł Bonasera.

– Żądałeś więcej – przypomniał don. – Twoja córka żyje.

– Niech oni cierpią tak, jak ona cierpi – rzekł z wahaniem Bonasera.

Don czekał, co powie dalej. Bonasera zebrał się na ostatek odwagi i zapytał:

– Ile mam panu zapłacić? – Był to rozpaczliwy jęk.

Don Corleone odwrócił się do niego plecami. Oznaczało to odprawienie. Bonasera ani drgnął.

W końcu, wzdychając jak człowiek o dobrym sercu, który nie może długo się gniewać na błędzącego przyjaciela, don Corleone obrócił się na powrót do przedsiębiorcy pogrzebowego, który był teraz błąd jak jeden z jego nieboszczyków.

– Dlaczego boisz się zachować lojalność przede wszystkim wobec mnie? – zapytał Don Corleone; mówił łagodnie, cierpliwie. – Zwracasz się do sądów i czekasz całe miesiące. Wydajesz pieniądze na adwokatów, którzy doskonale wiedzą, że wyjdiesz na głupca. Przyjmujesz wyrok sędziego, który jest sprzedajny jak najgorsza dziewczka z ulicy. Od lat, kiedy potrzebowałeś pieniędzy, chodziłeś do banków, płaciłeś rujnujące procenty, czekałeś z czapką w ręce jak żebrak, podczas gdy oni węszyli, wsadzali ci nos w tyłek, by się upewnić, czy zdołasz ich spłacić.

Don przerwał, jego głos stał się surowszy.

– A gdybyś przyszedł do mnie, moja kiesa byłaby twoją. Gdybyś przyszedł do mnie po sprawiedliwość, te szumowiny, które skrzywdziły twoją córkę, płakałyby dziś gorzkimi łzami. Gdyby przez jakieś nieszczęście taki porządny człowiek jak ty narobił sobie wrogów, staliby się oni moimi

wrogami... – don podniósł rękę z palcem wymierzonym w Bonasere – a wtedy, wierz mi, baliby się ciebie.

Bonasera pochylił głowę i wymamrotał zdławionym głosem:

– Niech pan mi będzie przyjacielem. Przyjmuję.

Don Corleone położył mu dłoń na ramieniu.

– Dobrze – powiedział. – Będziesz miał sprawiedliwość. Któregoś dnia, a ten dzień może nigdy nie nadejść, zwrócę się do ciebie, żebyś mi w zamian oddał przysługę. Do tego dnia uważaj tę sprawiedliwość za podarunek od mojej żony, matki chrzestnej twojej córki.

Kiedy drzwi się zamknęły za wdzięcznym przedsiębiorcą pogrzebowym, don Corleone obrócił się do Hagena i rzekł:

– Daj tę sprawę Clemenzy i powiedz mu, żeby użył ludzi pewnych, takich, których nie poniesie zapach krwi. Bądź co bądź nie jesteśmy mordercami, bez względu na to, co ten posługacz nieboszczyków ubrał sobie w swojej głupiej głowie.

Zauważył, że jego pierworodny przygląda się przez okno zabawie w ogrodzie. To beznadziejne, pomyślał don Corleone. Jeżeli nie chce skorzystać z pouczenia, Santino nie będzie mógł nigdy prowadzić rodzinnych interesów, nie będzie nigdy mógł zostać donem. Trzeba znaleźć kogoś innego. I to prędko. Ostatecznie on sam nie jest nieśmiertelny.

Z ogrodu doleciał radosny, gromki krzyk, zaskakując wszystkich trzech mężczyzn. Sonny Corleone przysunął się do okna. To, co zobaczył, sprawiło, że ruszył szybko do drzwi, z uśmiechem rozradowania na twarzy.

– Jest Johnny, przyjechał na wesele. A nie mówiłem?

Hagen podszedł do okna.

– To rzeczywiście pański syn chrzestny – powiedział do dona Corleone. – Przyprowadzić go tutaj?

– Nie – odrzekł don. – Niech ludzie się nim nacieszą. Niech przyjdzie do mnie, jak będzie gotowy. – Uśmiechnął się do Hagena. – A widzisz? Jest dobrym chrzestnym synem.

Hagen poczuł ukłucie zazdrości.

– Minęły już dwa lata – powiedział sucho. – Pewnie ma znowu kłopoty i chce pańskiej pomocy.

– A do kogo ma pójść, jak nie do swego ojca chrzestnego? – zapytał don Corleone.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).